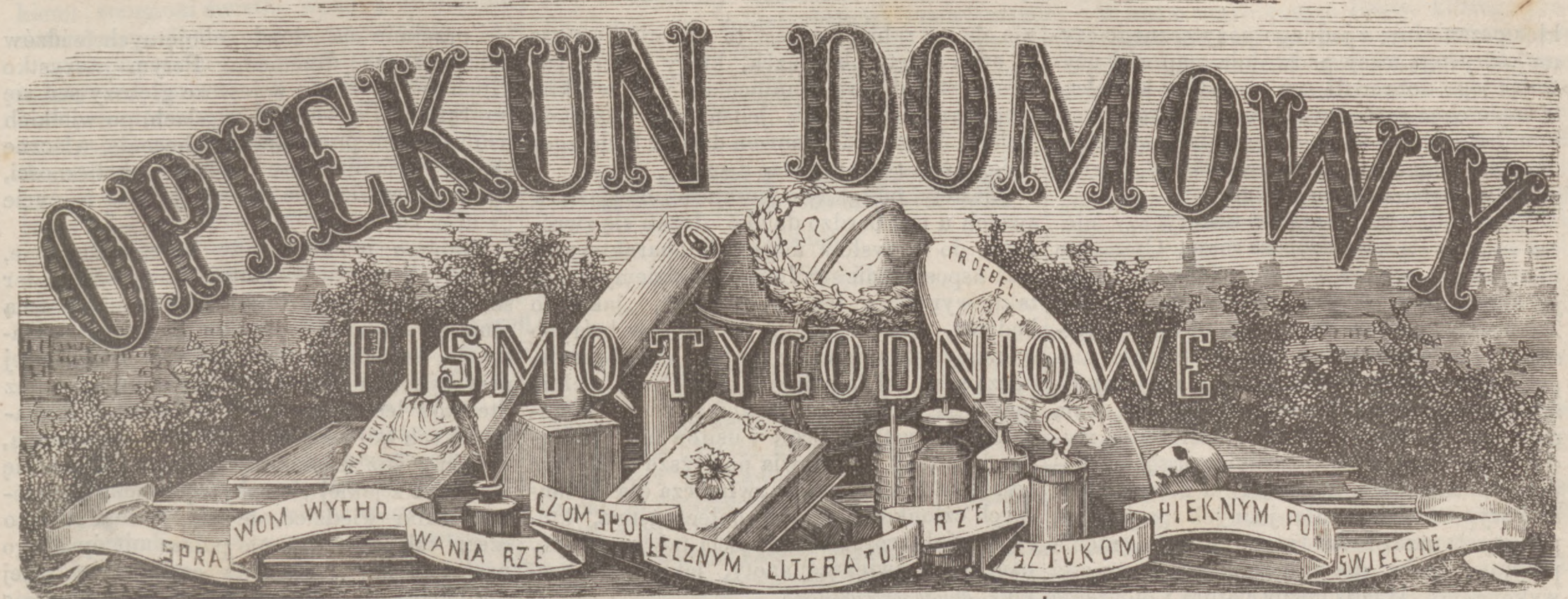
Nr. 36. Warszawa, dnia 22 Sierpnia (3 Września) 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach	„ 5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u **Czapińskiego** (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u **Wilda Karola**; w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza; *w Krakowie* w księgarni **A. Nowoleckiego.**

Numer pojedyńczy kop. 10.

Z DNIA NA DZIEŃ.

Szumią łany sandomierskiej i ukraińskiej pszenicy; płyną w dal jasne wody Wisły; lasy odwieczne szepcą sobie prastare tradycyje; w głębi ziemi sól, węgiel, miedź, żelazo, rozściełają się po szerokich przestrzeniach; cała przyroda jaśnieje świeżością, blaskiem i jędrnością lica: wszystko zdaje się zapowiadać spokój, zadowolnienie i szczęście!... Zdawałoby się, że wśród takiego otoczenia i na takim gruncie moglibyśmy posłyszeć i wesoły śpiew robotnika i turkot szybko obracających się kół i stuk maszyn, przerabiających bogate płody natury na użyteczne dla ludzi wyroby, i wielkie spisy imion ważących olbrzymim ciężarem na szali interesów przemysłowych i handlowych—i wielkie wreszcie bogactwo mas, połączone z ich gruntowną oświatą.

Dzieje wskazują nam nieraz i stokroć gorszy grunt i stokroć gorsze otoczenie — a przecież ludzie nie tracili odwagi, nie upadali na duchu, pracowali cicho, wytrwale—i wytwarzali stosunki, których zazdroszczą hojniej uposażone okolice. Jeżeli się niegdyś przechodziło po tym zachodnio-północnym zakątku Europy, który dzisiaj nazwę Holandyi nosi, wzrok smutnie błądził po płaszczyznach wyżłobionych bagnami, bezleśnych i pustych; ponure niebo rzadko się uśmiechało do biednego pracownika, którego krwawej robocie groziła ustawicznie ruina ze strony morza hulającego swobodnie po brzegach i zapuszczającego się w swych pląsach daleko w głąb' lądu. Licząc po naszemu, należało się wyrzec tego niewdzięcznego kawałka ziemi, którego się zalewało i tępiło do szczętu?... Po co rzucać ziarno w glebę na jesień, kiedy żniwo letnie stać ma się pokarmem dla istot żyjących w nieprzyjaznym żywiole, bo w wodzie, która wszystko zalewała i tępiła do szczętu?... Po co się trudzić i pracować w pocie czoła, kiedy owoców naszej pracy ani my ani dzieci nasze zbierać nie będziemy!... Lepiej było plunąć na wszystko, ręce założyć na piersi, dumać melancholicznie—lub też wędrować gdzieindziej, gdzieby warunki rozwijać się nie przeszkadzały.

Lecz dzielni Holendrzy rozumowania takiego do serca swego przypuścić nie chcieli. Walcząc mężnie z naturą i ludźmi, sypiąc tamy i budując okręty, broniąc swego bytu do ostatniej kropli krwi, zdobyli sobie wszystkie środki do szczęśliwego istnienia na ziemi. Ich przemysł znany jest na całym świecie; ich handel rozciąga się na wielkie obszary; ich bogactwo uszczęśliwia niezmierną większość jednostek; ich oświata sięga do najniższych sfer społecznych. Mały kraik, upośledzony od natury, przez pracę i wytrwałość swych mieszkańców stanął godnie pod każdym względem obok wielu innych wielkich i szczęśliwych.... Posiadał on znakomitych lekarzy, znakomitych filologów, wielkich malarzy; oświata ludowa kwitnęła i kwitnie; przekonanie o własnej potędze, zadowolnienie mieszkańców nadaje mu siłę i jedna szacunek

Narodowi temu nie przyszło to oczywiście jak z płatka, ale też na los się nie spuszczał, rąk nie załamywał, apatycznie nie wzdychał, lecz pracował, ciągle, wytrwale pracował. Podobny on był do owego staruszka z bajki, co to drzewka sadził, ażeby wnukom swoim cień od słonecznego skwaru zapewnić i owoce soczyste ku ochłodzie przygotować. A do tego potrzebne było jedno tylko przekonanie, że po nas świat się nie kończy, nie tak jak mówi francuskie przysłowie: *après nous le déluge....* Za tym przekonaniem idzie w loicznym następstwie takie rozumowanie: Cokolwiek zrobię dobrego i pożytecznego dla społeczeństwa, dzień jego szczęścia przyśpieszam, bo się to dobre i pożyteczne opłaci w przyszłości i przyniesie niedające się teraz obliczyć korzyści. Nic nie ginie na świecie, więc chociażbym ja sam nie miał kosztować owoców mej pracy, przynajmniej spokojnie położę się w mogiłę, pewnym będąc, żem spełnił swój obowiązek. Z małego ziarnka wyrasta bujny

ŚLADY ŻYCIA.

XXXV.

Tyle życia, ile..w czynie.

Wielkie i szlachetne serca nie umierają nigdy—zostawiają one wspomnienie, na którego trwałość same sobie zapracowały. Czyny ich to nie pomniki z marmuru, które się kruszą, lecz wdzięczność żyjących i potomnych... Na takie wspomnienie zasłużył sobie bezwątpienia Adam Chojnacki, b. rejent kancelaryi ziemiańskiej w Siedlcach, zmarły d. 23 sierpnia w Warszawie, w wieku lat 81. Oprócz zapisów dla osób prywatnych, uczynił on w testamencie następujące legaty: 1) rs. 30,000, od których procent ma być corocznie rozdawany cnotliwym ludziom (w rodzaju nagrody Monthyona); 2) rs. 9,000, od których procent dwuletni przeznaczony jest jako nagroda za napisanie dzieła pożytecznego dla oświaty ludu polskiego; 3) rs. 9,000, od których procent dwuletni przeznaczony na nagrodę za napisanie dzieła w materyi medycznej lub chirurgicznej. Nagrody powyższe za dzieła w języku polskim napisane będzie przyznawał Uniwersytet Warszawski ze spółudziałem trzech obywateli ziemskich; 4) rs. 9,000 dla Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności; 5) rs. 4,500 dla szpitala w Miechowie; rs. 4,500 dla szpitala w Siedlcach; oraz fundusz na stypendyja dla uczniów.— Sumy powyższe i sposób, w jaki zostały rozdzielone, są dosyć wymowne, a my podając o tym do wiadomości powszechnej, spełniamy tylko obowiązek obywatelski.

* * *

Otrzymaliśmy list następujący:

W numerze 26 „Opiekuna“ umieszczono pod tytułem: „W sprawie opuszczonych“ artykuł o nauczycielach i nauczycielkach domowych przedstawiający bardzo prawdziwie smutne ich położenie, oraz podający myśl założenia towarzystwa wzajemnej pomocy, któreby choć w części mogło zabezpieczyć niepewny byt, tych pożytecznych, a najczęściej źle wynagradzanych i w końcu „opuszczonych“ od świata i ludzi pracowników.—Zgadzając się zupełnie z szanownym autorem co do podanego przezeń w ogólnych zarysach planu i przyznając zupełną słuszność jego uwagom względnie do stanowiska nauczycieli w społeczeństwie, chcielibyśmy uzupełnić i rozwinąć według naszej myśli brakujące szczegóły. Otóż najprzód przed zawiązaniem takiego towarzystwa należałoby rozpowszechnić między klasą nauczycieli myśl i potrzebę wzajemnego zbliżenia i solidarności, które, o ile wiem, dotąd wcale nie istniały lub też były bardzo słabe. Sądzę, że bez zawiązania stosunków wzajemnych, towarzystwo takie nie mogłoby nawet przyjść do skutku, bo któżby chciał powierzyć swoje pieniądze ludziom, których nie zna, jakążby miał zreszta gwarancyją? Dziwna, że ludziom jednego fachu związanym naturalnie wspólnością in-

kłos pszeniczny; z jednego pożytecznego czynu korzystają masy podwójnie, naprzód używając jego dobrodziejstw a powtóre kształcąc w sobie chęć naśladowania go. Nierozerwalnym łańcuchem łączą się z sobą czyny jednostek, splatając się w pomnikowy wieniec dziejów społeczeństwa całego.

Rozważając ten przykład historyczny, nieraz smutno się nam robi na sercu. Czemużto nie u nas?—pytamy siebie w cichości. I snują się nam w umyśle odpowiedzi różne. Zwracamy uwagę na to i na owo; na przeszkody niezwalczone i na okoliczności nieprzeparte. Rozproszeni pracownicy—myślimy—po różnych stronach ziemi nie mają możności łącznego działania, które cuda wydaje; osłabiona nieszczęściami energija chwieje się na nogach, a skargi nawet niéma przed kim wypowiedzieć; dla jednych projektów, podjętych przez ludzi czynu i myśli, niéma punktu wyjścia, dla innych niéma możności wykonania. Więc choćby natura i otoczenie jak największe przedstawiały bogactwa, nic zrobić nie można; pierś tylko trzeba zahartować i—oczekiwać.

W rozumowaniu tym atoli spostrzegamy błąd jeden, którego prostota dziwić nas wprawdzie może, ale od uznania go odwodzić nie powinna. Wszyscy ci, co zniechęceni ręce opuszczają, zapominają, że nie było jeszcze na świecie ani jednego czynu, ani jednego wypadku, ani jednej zmiany, którąby nie była wywołana przez jednostkę lub jednostek kilka w stowarzyszenie jakieś połączonych. Wszystkie wspaniałe dzieje narodów rozłożyć się dają na działania pojedyńczych jednostek. Jeżeli więc chcemy przeprowadzić pewną reformę, zwrócić się przedewszystkim musimy do zreformowania siebie samych i do zreformowania tych jednostek stanowiących masy, które tak ogromnego wpływu na przebieg wypadków w stuleciu naszym nabrały.

Przejąwszy się tym przekonaniem, niepodobna nikomu narzekać na niemożliwość zmiany na lepsze, bo tu już niéma mowy o działaniu wspólnym albo o wpływie jakichś wielkich idei, kiedy o wspólność a zarazem zgodę nader trudno, a na wielkie ideje nie zawsze można znaleść to serdeczne uznanie, które jest konieczne w każdym ważniejszym na szerszą skalę pomyślanym przedsięwzięciu. Tu idzie poprostu o to: chcesz czy nie chcesz robić, uważasz to czy nie uważasz za swój święty obowiązek, który spełnić powinieneś pod karą zhańbienia się. A w takim wypadku dwu ludzi: jeden nad brzegami Wisły; drugi nad Amurem działać będą zgodnie, jeżeli tylko działać zaczną.

Niestety! od takiego poczucia obowiązków swoich u nas bardzo daleko. Jeżeli się zwrócimy do przysłów mających charakteryzować usposobienie ogółu, to znajdziemy u nas takie wyrażenia jak: „zrobi się", „jakoś to będzie", „niech djabli porwą"—w których widzimy stopniowanie apatyi, zniechęcenia, począwszy od łagodnej i niewinnej zupełnie pewności siebie, aż do kompletnego zaniechania wszystkich prób i usiłowań. Nie sądzimy, ażeby przysłowia powyższe miały być wyrocznią postępowania zwłaszcza dla dzisiejszych członków naszego społeczeństwa, których wielokrotne nieszczęścia powinny były nauczyć największej cnoty, jakiej nam brakuje, *cnoty wytrwałości.*

W tym pocieszającym mniemaniu utrzymują nas listy ze wszystkich stron kraju otrzymywane, jużto te, które czytelnikom naszym do oceny podajemy, już też inne, których drukować nie możemy. Wszystkie one zaznaczają ze smutkiem ten fakt, że na prowincyi, a mianowicie w oddalonych i zapomnianych zakątkach istnieje rzeczywiście ten smutny stan zniechęcenia (bo nieprzypuszczamy zniedołężnienia), który się wyraża życiem „z dnia na dzień", opędzaniem potrzeb bieżących i niemyśleniem o dalekim jutrze. Kilkadziesiąt czy kilkaset jednostek krzątą się egoistycznie około własnego, wyłącznie własnego dobra, zostawiając reszcie pieczę o samych sobie; ogromna zaś większość albo w ciemnocie kąpie się po uszy, albo też myśli jedynie, jakby biedę najbardziej naglącą odpędzić. Taki stan, który nazywają „wegietowaniem", życiem roślinnym trwa już oddawna i nie pozwala się szerszym przedsięwzięciom u nas rozgościć. Aby tylko dziś przeżyć, mniejsza o jutro: „jutro o siebie troskać się będzie." Rozpierzchnięte myśli, które, jak mówi poeta, nie trwają ni godziny, posiadają w sobie zaledwie tyle żywotności, że zdołają ogarnąć jednym rzutem to, co się naszwa tuż przed oczy a dalszych, szerszych horyzontów nie widzą ani ich nawet nie przypuszczają. A jednakże one są i od czasu do czasu jakiś kawałeczek odkryje się, zabłyśnie—i przejmie na chwilę obojętnych widzów elektrycznym drżeniem. Potym wszystko głuchnie; widzowie w jeszcze głębszy sen się pogrążają. Po wielkich myślach, po wielkich usiłowaniach pozostaje zniechęcenie, wieczne skargi jeremijaszowe na losy i okoliczności, mało doświadczenia na przyszłość i—życie „z dnia na dzień."

Pomimo jednakże, że korespondencyje, o których mowa, konstatują powyższe nader smutne fakta, czerpiemy w nich jednak pewną otuchę i nadzieję lepszej przyszłości. Spytacie się, czytelnicy, dlaczego? Oto z tej prostej przyczyny, że w uznaniu tego stanu nie przez literatów lecz przez ludzi będących członkami owych kół i kółek, o których opowiadają, widzimy już znakomity postęp. Ażeby się wyleczyć z jakiej choroby, potrzeba przedewszystkim wiedzieć, że się ją ma. Jestto rzecz tak jasna, że nie potrzebujemy długo nastawać na przekonanie czytelników o jej prawdziwości. Wprawdzie za poznaniem się na własnej chorobie nie idzie jeszcze wyleczenie się z niej: do tego potrzebna dyjeta, lekarstwa, a nieraz bolesna operacyja. W każdym jednak razie więcej jest szans wyzdrowienia dla tego, kto się uznał shorym niż dla dziwaka, który będąc chorym, nie chce się za takiego uważać. Przenosząc to porównanie do naszych interesów, niepodobna nie dostrzedz w świadomości naszego społeczeństwa co do braków choćby nawet w ogólnym ustroju,—zwrotu ku chęci zapełnienia tych braków, zapobieżenia im. Gdyby oświata i jeden z jej organów—prasa peryjodyczna—taki tylko wydały dotychczas owoc, nie moglibyśmy uważać go za złą przepowiednią na przyszłość;—część jej obowiązków byłaby spełniona.

Nie sądzim jednakże, żeby się na tym skończyło, żeby się skończyć powinno. Ciało raz w ruch wprawione, nie może się nagle i bez ważnych przeszkód w drodze swej zatrzymać; społeczeństwo, które poczuło potrzebę ruchu, nie stanie skamieniałe. Spodziewamy się więc, że projekta różnych stowarzyszeń, spółek, wydawnictw i t. p. o jakich nieraz się mówi i pisze, nie pozostaną tylko martwym słów dźwiękiem lub szeregiem równo ustawionych znaczków zwanych literami; że przechodząc w wykonanie, rozszerzą zakres widzenia każdej jednostki i pobudzą do wzięcia w nich szczerego udziału; że zniszczą ślima-

---

teresów, nie przyszła dotąd myśl utworzenia jakiegoś ogniska, gdzieby się zbliżać i poznawać mogli. Tylko naszemu zacofaniu, niezaradności, a także nierozsądnemu egoizmowi ten fakt przypisać należy, zresztą we wszystkim chodzimy najczęściej samopas i dlatego jesteśmy moralnie i materyjalnie tak biedni i słabi. „Concordia res parvae crescunt, discordia etiam magnae dilabuntur" uczono nas w szkołach, my jednak o tej prawdzie pamiętać nie chcemy. — Wychodząc z powyższej zasady, sądzę, że przedewszystkim należałoby się porozumieć wzajemnie i w tym celu wyjednać u rządu upoważnienie na *zjazd nauczycieli i nauczycielek prywatnych*, na którym możnaby było naradzić się we wspólnych interesach, a zarazem przedebatować i ułożyć plan stowarzyszenia. Nie ograniczając się liczbą członków, możnaby ich podzielić na kilka kategoryj, stosownie do ilości wnoszonych rocznie składek, zaczynając np. od 20 rubli, a kończąc na 100, następnie utworzyć z członków stowarzyszenia dwa działy, stosownie do tego, czy wnoszone przez nich składki mogą stanowić kapitał oszczędzony i mający być podniesionym, po pewnym przeciągu lat przez nich samych lub sukcessorów, czyli też dożywotnią rentę (emeryturę).—Drobne pożyczki na krótki termin (z opłatą wszakże małego procentu), mogłyby być tylko udzielane z kapitału utworzonego z wpisowego, którego skala może się zwiększyć z powiększeniem ilości składki (np. 2 ruble od 20, 10 od 100 rub.). — Gdy się zbierze, dajmy na to, 200 członków należących do 6-u kategoryj i przypuśćmy 90 członków do 1-ej, 60 do 2-ej, 20 do 3-ej, 10 do 4-ej, 10 do 5-ej i 10 do 6-ej, licząc roczną wkładkę po 20, 30, 50, 70, 80 i 100 rs., a wpisowego po 2, 3, 5, 7, 8, 10 rs., utworzy się już z wpisowego kapitał dostateczny na utrzymanie kasyjera (którýby był razem i buchalterem i prowadził korespondencyją). Przy powiększeniu liczby członków znalazłby się fundusz i na drobne pożyczki. Z wzniesionych zaś od 200 członków składek, utworzy się kapitalik wynoszący 10 razy tyle, to jest 6,600 rub., roczny procent od tego (chociażby 5 pct.) wyniesie 330 rub., po latach 20 sam procent zrówna się z sumą (nie licząc procentu od procentu). Przypuszczając, że liczba uczestniczących w stowarzyszeniu z rokiem każdym wzrastać będzie tylko o 20 pct. od ilości początkowej, to po latach 5-ciu ilość członków podwoi się, a kapitał ogólny z wpisowego z narosłemi procentami utworzy przeszło 15,000 rub. Można także przypuścić, że liczba członków powiększać się będzie w znaczniejszej proporcyi, i że kapitał już dość znaczny znajdzie dogodniejszą lokacyją. Nie wdając się w dalsze kombinacyje i wyrachowania jako oparte jedynie na przypuszczeniu i tylko dla przykładu tu umieszczone, śmiało jednak twierdzić można, że towarzystwo wzajemnej pomocy nauczycieli jako mające w samym sobie racyją bytu i będące bardzo na czasie, byle mu tylko dano początek i porozumiano się co do ogólnych jego podstaw i pewności istnienia może i powinno utrzymać się. W dalszym rozwoju takiego stowarzyszenia, należałoby pomyśleć o innych środkach pomocy dla nauczycieli prywatnych, jak np. o urządzeniu biura informacyjnego, wspólnego a niedrogiego lokalu dla przyjezdnych nauczycieli, gdzieby była czytelnia i wspólna bawialnia. Taki lokal np. w Warszawie byłby rzeczą bardzo pożądaną i to ułatwiłoby znajomienie się nauczycieli lub nauczycielek z sobą, następnie oświecanie się wzajemne w rzeczach do ich zatrudnienia i powołania odnoszących się, udzielanie sobie uwag co do metod wykładu, postępowania z uczniami i t. p. — Wiadomo powszechnie, jak rujnującą jest jest rzeczą dla nauczyciela prywatnego dłuższy pobyt bez zajęcia, czyli tak zwane siedzenie „na bruku", które pochłania bezpowrotnie wszelki zaoszczędzony grosz i zmusza

czą skorupę życia „z dnia na dzień“ i szerokiemi smugami światła wpadną do ciemnic, rozbudzając lud w nich wegietujący. Ale w tym wszystkim jedno nam przyswoić sobie należy: nie zrażać się trudnościami, jakie każdy w piérwszych swych krokach napotkać musi, zwalczać przeszkody, jakie się w drodze nasuną, otrząsnąć się z tego obezwładniającego przekonania, że jednostka jest „słabą istotą“ i—pracować wytrwale. Nie trzeba bowiem nigdy zapominać, że w wielkiej części wypadków nieudatne usiłowania są winą śmiertelnego naszego grzechu: braku wytrwania wśród niepowodzeń albo poprostu wśród długo ciągnącej się pracy, która nie wybuchu gwałtownego lecz codziennej, pańszczyźnianej, że tak powiem, wymaga roboty. Zarzucają nam to obcy i my zarzucamy to sami sobie: czas byłby przecież pozbyć się wady, której się tylekroć nietylko wstydzić, lecz którą opłakać krwawo nieraz musieliśmy.

Zaprowadza ktoś np. nowe ulepszenia w gospodarstwie; w piérwszych latach nietylko koszta mu się nie opłacają, lecz znakomitych strat doznaje—stąd wniosek, że wszelkie ulepszenia na djabła się zdały. Zakłada ktoś fabrykę; z powodu nieumiejętności obchodzenia się z maszynami, wydaje gorsze wyroby i ulega w walce ze swoim spółzawodnikiem; nie chce odtąd znać fabryki. Zawiązuje się stowarzyszenie; nieporozumienia członków są w początkach na całym świecie rzeczą zwyczajną; lecz u nas bij zabij na stowarzyszenia. Przykłady można powiększyć na dziesiątki i setki; zawsze i wszędzie jako najważniejszy czynnik niepowodzenia znajdujemy baltazarowe wyrazy: brak wytrwałości!.... Gdybyśmy nawet odtrącili znaczną liczbę projektów które nie przyszły do skutku, z powodu ubocznych okoliczności, ileż-to spółek i stowarzyszeń rozchwiało się zaraz w samym zarodku a inne, zbiegiem wypadków protegowane, wleką nędzny swój żywot na pół senne na pół martwe. Jeżeliby wszystkie zamiary u nas podnoszone w pismach przechodz iły w rzeczywistość, nie potrzebowaliśmy zazdrościć szczęśliwszym narodom. Inaczej się działo, bo żyliśmy z dnia na dzień.

Jeżeli jednak chcemy zająć wyższe stanowisko wśród ekonomicznej rzeszy narodów; jeżeli chcemy dorównać najmniej uprzywilejowanym od natury; musimy przyjąć ich system postępowania. Zaufawszy we własne siły i oceniwszy doniosłość jednostki i jej działania w społeczeństwie: powinniśmy przemienić gnuśne życie z dnia na dzień na życie zapełnione wytrwałą pracą, a jasną gwiazdą przyszłości opromienione.

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(Ciąg dalszy).

Ktoś zasadził artystę do fortepijanu—sumienny człowiek czuł się w obowiązku do zapłacenia za herbatę—i grał długo—zyskując huczne oklaski, których największa część, przypadła na kawałek odegrany najgorzej z całego repertuaru.—Pani Flora wykrzykiwała z zapałem:

— Słyszałam Liszta! zupełnie grał tak samo! tak samo grał! drugi Liszt!

Napróżno ktoś ją chciał objaśnić, że to całkiem inna maniera i rodzaj—że artysta duszą i ciałem Chopinem przejęty, za Chopinistę uchodzić pragnie—pobiegła dalej ze swoim frazesem bardzo z niego zadowolniona.

— I ty już trzy tygodnie przetrwałaś w tym świecie, Beato moja!—mówił Emanuel.

— Trzy lata!—trzy wieki!—A ty pojmujesz jak mi tu było obco i tęskno!—odpowiedziała żywo.

— Wyjedziesz stąd? dziś?... Natychmiast?..

— Nie! mój najdroższy! dziś nie mogę.— Jutro pożegnam panią Florę—napiszę słów parę do cioci Pulcheryi—i wrócę do moich kochanych pokoików!

— Czemu nie dziś?

— Bo opinija o sławie narzeczonej Emanuela Wiśniowieckiego, powinna być nieskażoną!

— Mój ty aniele!..—szepnął z czułością.

— Ukochany mój!.. — odpowiedziała cichutko.

— Kocham cię!—gwiazdko błogosławiona! —ah! kocham!

— Kocham!

Wejrzenie ich snuło dalsze strofy, tej długiej pieśni, którą zaczął piérwszy człowiek na ziemi, a zakończy ostatni. Zapomnieli o trosce powszedniej, o przebytym bólu—ciaż raz w życiu te wyjątkowe istoty—były egoistami.

Wieść o narzeczonym Beaty, którego prawie nikt nie znał—a po przedstawieniu nie wiele się dowiedział, zrobiła ogromne wrażenie w salonie. Pani Furfarkiewiczowa ratując swój honor gospodyni, na zapytania robiła minę tajemniczą—bąknęła coś o Podolu —z czego urosło w pół godziny, że Emanuel jest nadzwyczajnie bogatym synem książęcej, na Podolu dobra mającej, rodziny. Nie wiedział o tym wcale Emanuel—i zdziwił się gdy pan Hijacynt, mając sobie za obowiązek zabawić go chwilę — pytał go o szczegóły z Podola.

— Bardzo mało znam tę okolicę—odparł, myśląc co sprowadziło to pytanie.

— W Kijowie jednak, bywałeś pan zapewne często?

— Nie byłem ani raz!

— To oryginalne!—wyrzekł grzecznie gospodarz—a Emanuel spojrzał na niego, nie wiedząc co to ma właściwie znaczyć.

— Piękna to rzecz—te stepy ukraińskie! odezwał się znów pan Furfarkiewicz.

— Rzeczywiście!

— Ziemia bogata! płynąca mlekiem i miodem!

— Zapewne!

— Lud piękny i dorodny!—A jakież to śliczne te dumki mało-ruskie!

— Cudowne,—mówił Emanuel nie mogąc wyjść z podziwienia nad tą maniją ukraińszczyzny.

— Pan zapewne lubi je słuchać?

— Bardzo lubię!

— Ah! to zdaje mi się, panna Beata wczoraj—właśnie coś podobnego do dumki ukraińskiej grała!—rzekł pan Hijacynt znacząco. Możnaby prosić o powtórzenie?

Ale w tej chwili, na propozycyją, chętnie przyjętą przez ogół—jedna z planetek muzycznych usiadła za fortepijanem i zabrzmiał porywający walc Straussa.—Kilka par sunęło w takt muzyki po śliskiej posadzce.

— Ah! to bieda, że panna Beata nie tańczy? powiedział pan Hijacynt oglądając się za walcującą ze znajomym nam brunetem żoną. Beata się zarumieniła. — Nic nie zdoła oddać wyrazu spojrzenia Emanuela, jakim ją objął z miłością.

— Prosiliśmy—przekładali.—Nie! Slub! taką odpowiedzią musimy się kontentować

---

nieraz nauczyciela dla wyjścia z fatalnego położenia, sprzedawać za marne wynagrodzenie swój czas i zdolności. Otóż podobne biuro miałoby na celu zawiadamiać zawczasu członków towarzystwa o wakujących posadach, udzielając im razem dokładnych wiadomości o domu i towarzystwie, do którego wejść mają, a to dla zabezpieczenia ich od wielu przykrości, zawodów, a nakoniec strat materyjalnych, na jakie naraża ich nieraz nierzetelność czyli poprostu nieuczciwość takich ludzi, którzy grosz tylko ceniąc i ludzi nie rozumem, lecz groszem mierząc, liczą się jedynie z groszem a nie z sumieniem. Że takie zbliżenie do siebie pracujących w jednym zawodzie, wzajemna wymiana myśli, kontrola moralna i pomoc, mogłyby wydać bardzo dobre owoce i wpłynąć na podniesienie wogóle poniżonej, zwłaszcza u nas klasy nauczycieli domowych, o tym wątpić się nie godzi. Instytucyja, o jakiej mowa, zabezpieczając choć w ograniczonej mierze byt i starość nauczycieli, podtrzymywałaby ich siły w pracy, przyzwyczajałaby, zwłaszcza młodsze pokolenie, liczyć tylko na siebie, nie oglądając się na obcą, często zawodną pomoc; słowem, byłaby bodźcem ku dobremu. Z niej też mogłoby się z czasem rozwinąć towarzystwo pedagogiczne, podobne temu, jakie istnieje we Lwowie, i którego działalność, o ile nas stamtąd dochodzą wieści, jest pożyteczne dla całego kraju. Jednak to wszystko musi być u nas na drugim planie, główny cel stowarzyszenia, czyli spółki nauczycieli, ma być zabezpieczenie bytu nauczycieli prywatnych i postawienie ich na poważniejszej stopie w społeczeństwie; za tym pójdzie wszystko inne.

Wł. Prawdzic.

* * *

Odezwa D-ra Jodki w kwestyi powiększenia liczby łóżek w Instytucie Oftalmicznym, o której wspominaliśmy w naszym piśmie, nie pozostała bez skutku. —Znalazł się chętny ofiarodawca, który przeznaczył na ten cel 500 rs.—Dwanaście łóżek z pościelą, odpowiednio do wymagań higijenicznych urządzonych, obstalowano w fabryce pana Mintra, i niedługo zajmą swe miejsca w salach szpitalnych.— Zaznaczamy skwapliwie fakt świadczący wymownie, że w społeczeństwie naszym ludzi dobrej woli i czynu nie brakuje.

* * *

Z powodu korespondencyi z Kamieńca, zamieszczonej w N-rze 33 pisma naszego, odebraliśmy replikę „prenumeratora z Ukrainy“, który stara się rozjaśnić owe ciemne strony, jakich korespondent nasz w głównym mieście podolskim dopatrzył. Czytelnicy nasi są bezwątpienia najmocniej przekonani, że chcielibyśmy wszystkie nasze stosunki w najświetniejszych widzieć kolorach, ale—*widzieć naprawdę*. Złudzenia pod tym względem są rzeczą najszkodliwszą — bo od pracy nad sobą, od uznania swych błędów, odprowadzają... W replice więc szukaliśmy troskliwie faktów, któreby zdanie naszego korespondenta do pewnego stopnia zmodyfikować zdołały. Cośmy mogli zebrać podajemy treściwie:

„Że dzieci Izraela—powiada „prenumerator z Ukrainy“ już się tam (w Kamieńcu) na dobre rozgospodarowały, na to każdy z mieszkańców zgodzić się musi. Ależ pewno nikt z nich, nie zapomniał o tym, że przed kilku laty kandydat nauk przyrodniczych, p. Skopowski, w spółce z pp. Holeckim i Wilgą rozpoczęli sumienny handel i dziś ich magazyny bakalij i galanteryjnych wyrobów, wytrzymawszy konkurencyją z żydowskiemi sklepami zaopatrują mieszkańców w niezbędne wiktuały. Za ich przykładem poszli i inni; dziś podobnyż handel, chociaż nie tak obszerny, prowadzą: p. Drużbacka, p. Piątkowski. Oprócz tych, mamy jeszcze sklepy pp. Żurawlewa,

Uderzająca to pobożność w młodej osobie—że nie powiem, anomalna!

Powiedziawszy to pan Hijacynt, zaprosił do tańca damę w zielonej sukni, i puścił się w wir tańca zapamiętale.

Nareszcie zostali sami—nie wyrzekli ani jednego słówka—oczy tylko się spotkały—lica uśmiechnęły—i oboje stanęli w kole tańczących. A taniec ich, zręczny, pełen godności, gracyi, naturalnego wdzięku — zwrócił uwagę niemal całego towarzystwa.

— To pani tańczy?—a ślub?—zawołała pani Flora do rozrumienionej zmęczeniem, promieniejącej szczęściem i swobodą dziewicy.

— Ślub się skończył!—szepnęła z uśmiechem.

— Aha! rozumiem!—Cudownie! Pojmuję to, i ja taką byłam!—powiedziała melancholicznie.

Emanuel poprosił ją z obowiązku do tańca—Beatę chwycił pan Hijacynt—a po nim cały szereg tancerzy.

Gucio stanąwszy chwilę we drzwiach, widział gdy po raz drugi unoszona ramieniem Emanuela tańczyła z całą roskoszą młodości i szczęścia.

Zagryzł wargi aż do krwi—wychylił podawany mu wtedy kieliszek wina i doścignął ją w moment gdy usiadła zmęczona.

— Jeden taniec do mnie należy!—wyrzekł stając przed nią. — Zaczekam aż pani odpocznie.—Beata nie mogła mu odmówić.—Zaczęli więc tańczyć i tańczyli bardzo długo; nakoniec Gucio ścisnąwszy jej rękę, jakby chciał zgruchotać— posadził na miejscu—i wybiegł.

Emanuelowi zdawało się, że widział twarz jego siostry, biednej Djoli.

Nazajutrz Beata wstała rano, i odrazu zabrała się do pisania.—Kilkoma wyrazami zawiadomiła ciocię Pulcheryję, że znudzona wielkim światem i chaotycznym życiem salonów—wraca do cichej pracy i mieszkania przy ulicy Czystej.—Drugi list, dłuższy nieco, napisała do Władysława, powtarzając mu swoje postanowienie i niezłomną wolę. Skończywszy—ubrała się w tęż samę skromną sukienkę, w której opuszczała swoję siedzibę—upakowała starannie wszystkie rzeczy i kosztowności ofiarowane jej przez Władysława, i wraz z kartką posłała je do cioci Pulcheryi, nie chcąc nic zabrać z sobą coby jej te kilka tygodni przypominało — i poszła na śniadanie aby oznajmić także swój odjazd państwu Furfarkiewiczom.

— Żałowali miłej towarzyszki.—Pani Flora zabrała się już do wyciągnięcia bliższych szczegółów i zaspokojenia ciekawości—ale ranna wizyta przeszkodziła rozmowie i Beata oswobodziła się nareszcie.

Otuliwszy się w futerko, biegła szybko z bijącym sercem.

XX.

Gucio szalenie używał karnawału—każdego dnia był na jakimś zebraniu, coraz inne serduszko błogą napełniał myślą, że niezawodnie gotów mu poświęcić swe życie, majątek i wdzięki—odurzony rzucał się na łóżko nad ranem i spał do nocy, aby znów oszałamiać się zabawą i winem. — Znajomi, słudzy nie poznawali go—nie wiedzieli co mu się stało, co go natchnęło tak wybornym humorem. Dotąd uważali go za dziecko rozpieszczone, teraz okazał im się dziwnie energicznym i męskim. Pani Ruszczyc zgniewana za zerwanie z Eleonorą — nie mogła sobie zdać z jego postępowania dokładnej sprawy.—Jednak, słysząc opowiadania o jego szalonych wybrykach, szepnęła do siebie:

— Prawdziwy Ruszczyc! godny syn swej rodziny!—Jednego popołudnia Gucio wstał wcześniej i kazał się zawieść przed sklep, gdzie dawniej Beata sprzedawała swoje wyroby.

— Wszak tutaj jedna panienka oddaje rzeźbione przedmioty?—spytał nieostrożnie.

— Kto?—pytał sprzedający z niechęcią.

— Ah!—ja nie wiem kto! — odparł spostrzegłszy się Gucio.— Zachwalono mi prześliczne cacka i pokazano kilka szkatułek i albumów z drzewa, roboty podobno jakiejś młodej osoby—które były tu kupione.—Lubię takie fraszki, podobała mi się oryginalność pomysłów i wykończenie, więc chcę nabyć kilka takich przedmiotów!

— Teraz nie mamy już od niej nic—odparł właściciel sklepu zakłopotany. — Ale oto są piękne zagraniczne wyroby—może pan zechce coś wybrać.

— Nie! — rzekł Gucio zabierając się do wyjścia.

— Ale bo!—Za kilka dni możemy mieć żądane przedmioty!—powiedział kupiec spiesznie—ostro zmierzywszy swego sprzedającego, który go namówił do wypowiedzenia roboty Beacie.

— Dobrze!—Oto mój bilet—proszę przysłać mi kilka sztuk—wszystkie jakie będą!

— Z całą przyjemnością! — mówił kupiec odprowadzając aż do drzwi grzecznego młodzieńca.

— No widzisz pan! coś mi narobił!—zaczął burczyć na swego subjekta.—Chyba ją trzeba przeprosić.

— E!—Pośle mu się inny wyrób—i ani się pozna!—tłumaczył dowcipny człowieczek.—Traf szczęśliwy zrządził, że tegoż dnia, pewna dama, która kupiła tutaj rzeźbiony nożyk do papieru—zapragnęła drugiego takiego, i—przyszła pytając znów o pracę naszej rzeźbiarki.

Choć wzięła inny—zrobiło to duże wrażenie na właściciela sklepu—i postanowił ostatecznie przeprosić młodą robotnicę. Dopomógł mu w kłopocie młodszy sprzedający—dobry Kazio—który podjął się poselstwa do Beaty.

Na wielkie strapienie złośliwego subjekta—niezwłocznie wyprawiono Kazia z bardzo grzecznym listem—resztę posłaniec miał ustnie wyjaśnić.

Zastał Beatę samę—z przyzwyczajenia i amatorstwa rzeźbiącą.—Poznała go i przywitała grzecznie, pytając o powód wizyty.—Podał jej list pryncypała.

— Niech pani będzie łaskawą i nie gniewa się na nas!- rzekł gdy skończyła czytać.—Wszystkiemu winna jedna niedobra dama, i ten nieznośny pan Ludwik, który miał teraz za swoje!—Pytają się o robotę pani—i mam panią bardzo prosić, żeby nadal nieodmawiała zaopatrzenia naszego sklepu w te ładne cacka rzeźbione! — Pan pryncypał bardzo przeprasza.

— Dobrze!—odparła Beata.—I ja chętnie wrócę do dawnego zajęcia! — i serce zabiło jej żywiej z radości, że znów spokojnie nastanie.

— Może pani coś z wykończonych prac przezle na moje ręce—mamy obstalunek na robotę paninych rączek!

Beata zapakowała kilka przedmiotów, naznaczyła ich cenę—i uśmiechnięta, rozrumieniona, usiadła do warsztatu swego, po odejściu uszczęśliwionego dobrym obrotem sprawy Kazia.

Wieczorem przyszedł Emanuel.

Kalinina, Dehterewa, które od dawien dawna dostarczają mieszkańcom Kamieńca wszystkiego, w co obfituje Moskwa i Kijów".

Przyjmując te fakta z wdzięcznością, powiadamy przecież—to mało. Wiemy o tym, że majątki rozsypują się, a rozbitki nie wiedzą, co zrobić ze sobą: albo dlatego, że są za dumni, żeby się wziąć do przemysłu albo też wziąwszy się, nie umieją sobie radzić, bo nie są do tego przyzwyczajeni... Nigdy więc nie będzie zanadto nawoływać do pracy, do pracy produkcyjnej, zapewniającej i byt materyjalny i przechowanie tradycyj dziejowych.

W dalszym ciągu odpowiedzi spotykamy obronę Bluszczu i Tygodnika Romansów: „Czyżby już miały nastać czasy prześladowań całej jak jest *beletrystyki*—powiada z oburzeniem korespondent—i już dziś nie wolno było nikomu, pod karą klątwi piorunów młodej prasy, czytać coś innego oprócz wstępnych artykułów o kwestyjach emancypacyi, swobody, rozwodów, pochodzenia człowieka i t. p.? Wątpię i bardzo wątpię, byśmy już dojść mieli do tej ostateczności, bo wierzę, iż *gdzie jest postęp; tam musi być i tolerancyja*".

Pod tym względem zupełnie podzielamy zdanie korespondenta, który nie spostrzegł się, że *postęp* wymaga też *przynajmniej tolerowania* artykułów wstępnych, które mu jakoś do smaku nie przypadają. Jeżeli mówimy cokolwiek przeciwko beletrystyce, to jedynie przeciwko beletrystyce jałowej, gadatliwej lub niedołężnej i tylko przeciwko *wyłącznemu* kultowi beletrystyki. Znając jej potęgę chcielibyśmy ją widzieć na wyżynach, z których by rozrzucała promienie swego ożywczego światła na masy, na te masy, co stanowią siłę i dzielność społeczeństwa, co w sercu swym przejmują się każdą wielką myślą, każdym wzniosłym uczuciem. Jeżeli beletrystyka w takim tonie do swych czytelników przemawia, czcimy ją i szanujemy. Bezwątpienia korespondent nasz i jego preopinant nie inaczej sądzą, bo obu idzie o dobro ogółu; jeżeli zaś z odmiennych na niektóre rzeczy zapatrują się punktów, to w imię tolerancyi powinni sobie podać... dłoń zgody.

*
* *

Szanowny Redaktorze!

Czytając wasze pismo, napotykam korespondencyje z różnych stron kraju, widać z tego, że ludziska chętniej biorą za pióro dzisiaj niż dawniej, aby wypowiedzieć to wszystko co im dolega, i podzielić się myślą z drugimi.—I mnie też przyszła ochota odezwać się choć raz w życiu. Moi panowie, piszecie o tej prowincyi, o wsi i gospodarstwie rolnym dosyć często. Dzięki wam za to, że nie zapomnicie o hreczkosiejach, ale cóż, częściej nam przypniecie łatę niż pochwalicie — częściej wytkniecie błędy, wypowiecie słowa przykrej prawdy, niż dacie pożyteczną radę. Jesteśmy grzeszni ani słowa, nie możemy się zastosować do nowych wymagań i nowego porządku rzeczy, ale rozważcie, cóż my mamy robić? z próżnego nie naleje. Nie trzymamy już ani kamerdynerów, ani lokai i furmanów w liberyi, nie jeździmy piątką cugowców, lecz fornalskiemi szkapami, obsługuje nas pokojówka, wyręcza w dozorze gospodarskim karbowy, na jarmark jedzie się po to aby kupić lub sprzedać, o szampanie, djabełku i tak dalej niémasz mowy. Bieda u nas moi panowie, kredytu na grosz jeden, najemnik drogi, lasy wycięte, pszenica zawodzi, kapitału obrotowego brakuje. Dajcie nam banki rolnicze, dajcie kasy zaliczkowe, uwolnijcie od mało-miasteczkowych bankierów, a jeżeli wtenczas kultura ziemi i produkcyja rolna nie postąpi, to już bez ogródki ja sam powiem, że szlachcic na gospodarza postępowego niezdatny, i nic ze mnie i moich sąsiadów ogółowi nie przyjdzie. Jesteście inteligencyją, nosicie głowy nie od proporcyi, po-

— Dobra wieść Beato droga!—zawołał zaraz z progu—odzyskałem napowrót wszystkie dawne lekcyje, i jeszcze dwie godzin nowych!—Jestem teraz wielkim panem! mam 3 ruble dziennie!

— Ah! — a ja znów zawarłam układ ze sklepem i będą mogła pracować nad rzeźbą jak dawniej! - Los nam w jednym dniu miłą dał niespodziankę! — Mniej więcej i ja mam przeszło 2 ruble dziennie!—Jesteśmy bardzo bogaci!

Emanuel całując rękę narzeczonej, spojrzał na nią—chciał coś powiedzieć—lecz nagle posmutniał i zamilkł.

— Beata była roztargnioną i zamyślała się często. Nakoniec położyła dłutko —zawahała się chwilę i zarumieniona, nieśmiała, rzekła do Emanuela:

— Czyż ja mam piérwsza wymówić naszę myśl?.. Czemu ją kryjesz drogi mój?—O! nie utaiłbyś nic przedemną!.. Ja wiem!...

Biały książę klęczał u jej stóp i tulił obie jej ręce do swej piersi.

— O Beato!.. Ja nie mogę być takim egoistą! Zamknąłem oczy na urok czarownych obrazów—i siłą stłumiłem słowa na ustach!.. Mogęż ciebie narażać na trudy żony ubogiego męża?..

— O mój jedyny!... ja się tego nie lękam wcale! Czy może być większe dla kobiety szczęście nad podzielanie pracy ukochanego? nad tkliwe starania około jego osoby? — Jesteśmy już dość bogaci! Zobaczysz jak praktycznie urządzę małe gospodarstwo. Mieszkanie to nam wystarczy.—Nieprawdaż?!.. Nie zwlekajmy dłużej chwili naszego połączenia!... mówiła Beata z uczuciem i łzami radości.

— Moja ukochana! - Czy powinienem przyjąć taką ofiarę?...

— Ah! Niewdzięczniku!.. Chcesz abym ci mówiła że to dla mnie szczęście nie ofiara?... i spłoniona Beata ukryła główkę w objęciu narzeczonego z wyrazem takiej miłości, że Emanuel nie mógł walczyć dłużej z uczuciem—nie oparł się więcej tak słodkiemu naleganiu!

Śliczna para ułożyła sobie w dalszej gawędce, że wyrobią sobie indult, i za dwa tygodnie połączą się ślubem przed Bogiem i ludźmi.

Najmilsze projekty snuły się ciągle—czas ubiegł jak na skrzydłach — rozstali się z żalem.

— Jeszcze dwa tygodnie!—szepnęli sobie na pociechę przy pożegnaniu!

Beata napisała list do ojca—oznajmiający mu wiadomość o jej bliskim zamążpójściu.

„Nie gniewaj się mój ojcze!—pisała—nie mogło być inaczej!—Wszak chcesz mego szczęścia—wiedz—że jestem prawdziwie szczęśliwą!—Bądź nam życzliwym—tego tylko pragniemy — resztę — wyrobimy sobie własną pracą...”

(d. c. n.)

FROEBEL I OGRÓDKI DZIECINNE,

PRZEZ

Henryka Wernica.

Wiadomo, jaką zmianę w pojęciach o wychowaniu wywołało dziełko Roussa, pod napisem: „Emil“ ogłoszone jeszcze w 1762 r.

Hasłem jego była naturalność w wychowaniu, to jest, uwzględnienie praw naturalnego rozwoju dziecka, tak fizycznego jak umysłowego. Wiadomo również, że sam autor nieodpowiedział swojemu godłu, używając rozmaitych niewinnych sztuczek, aby przyśpieszyć ten niby naturalny rozwój swego wychowańca, postępując z nim jak kuglarz ukryty przed widzem, a wprawiający w ruch maryjonetkę.

Pestalozzi idąc za Komeńskim a podnosząc myśl Roussa zaczyna od kształcenia zmysłów wychowańca, a raczej jego uwagi przez wprawę w spostrzeżenia odbywane na rzeczach, łącząc z temi ćwiczeniami rozwój jego mowy.

Spostrzeżenia na rzeczach nie mogą być jednakże wyłącznym środkiem wychowawczym w całym przeciągu czasu lat 7, to jest do siódmego roku życia, w którym dopiero nauka książkowa rozpoczynaną być powinna; gdyż przyzwyczajałoby to dziecię tylko do bierności, nie uwzględniając bynajmniej jego pociągu do czynności i zajęcia.

Czyż dziecię do lat 7-u niczym więcej zajmować się nie powinno jak tylko odbywaniem spostrzeżeń? czy nie ma jeszcze innych popędów, których użyć należy dla jego własnego dobra i pożytku na przyszłe lata? czy nie dadzą się one zastosować do jego wieku i zdolności?

Takie i tym podobne były myśli, które pobudzały Froebla do głębszego badania i rozpatrzenia się w duchu dziecka.

Wszakże już niemowlę chwyta rączką każdy przedmiot, nóżkę swą podnosi nietylko dla pozbycia się tłoczących ją więzów lecz dla użycia ruchu, czynności.

Ruch jest podstawą wszelkiego życia tak fizycznego jak i duchowego, bez niego następuje zastój ciała i ducha.

Pestalozzi zaczyna wychowanie od wykształcenia władzy spostrzegawczej, Froebel od wykształcenia popędu do czynności; w czynności bowiem władza spostrzegawcza odpowiednio do wieku dziecinnego zostanie wykształconą, później po latach 7-u wyrabia się ta władza przy pomocy mowy.

Za podstawę swego systematu wziął on matematykę; naukę, zajmującą się wszelkiemi oderwanemi formami rzeczy napotykanych w życiu, a to tak dalece, że nie możemy sobie wyobrazić najoderwańszych naszych myśli bez przestrzeni.

Froebel obserwował ściśle ducha dziecinnego i nie wynajduje swego systematu lecz go odkrywa.

Pestalozzi już zwrócił uwagę na popęd dziecka do czynności, lecz brakło mu usystematyzowania i należytego ugrupowania, czego dokonał jego następca.

Piérwszą nawet pobudkę zapewne otrzymał założyciel ogródków dziecinnych od Pestalozzego, do którego się udał 1808 roku ściągnięty jego ówczesną sławą.

W tym też czasie, mając sobie powierzone wychowanie kilku chłopczyków znamienitszej rodziny, położył za warunek, żeby wolno mu było przeplatać naukę szkolną zajęciami w polu i ogrodzie.

Froebel najbardziej ze wszystkich uwzględnił znane prawo, że w zdrowym ciele najwygodniej mieszka zdrowa dusza.

Dosyć długie życie jego, bo lat 70 pozwoliło mu wykształcić i rozpowszechnić swój systemat, a dziś znamienitsi mężowie i zacne kobiety, na czele których stoi pani Berta von Marenholz Bülow, nie mało się przyczynili do rozpowszechnienia tych zakładów.

Życie Froebla jest bardzo proste. Oddany jedynie swej myśli, mającej na celu najistotniejsze dobro ludzkości, pracował nad nią wytrwale nie zrażając się żadnemi przykrościami; ufny w błogie skutki, jakie z niej na społeczeństwo spłynąć powinny.

---

radźcie nam, a dalibóg posłuchamy, bo nam ciężko, a w tarapatach i konceptu brakuje.

Dajcie nam kredyt na 8% rocznie, dajcie na dłuższy termin niż dzisiaj – a wełna, pszenica i żyto, a chleb naszej skiby ojczystej wyżywi nas i was, przemysł leśny i rolny zakwitnie, bo bieda nauczyła rozumu, widzimy jasno czego brakuje i co robić, ale bez kapitału, bez grosza, to samego Salomona w kozi róg zapędzisz, a cóż dopiero skubanego przez wierzycieli dzierżawcę! Szlachcic dzisiaj to jak zając pod skibą, czeka rychło najedzie go komornik, drży na wspomnienie wydatków, raty dzierżawnej, procentu od parszywych dłużków. A tu dzieci dorastają, trzeba łożyć na edukacyją, stodoła się bakieruje, owce dostają kulawki lub motylicy, pszenicę zaraża, owies przypaliło... rób co chcesz, głowę susz... jeszcze cię w dodatopublikuje Tygodnik rolniczy, lub jakiekolwiek czasopismo osądzi za ostatniego niedołęgę. Protestuję w imieniu moich sąsiadów przeciwko takim nadużyciom. Nie szykanujmy się, ale wspierajmy się, niechaj miasto poda rękę wsi, wesprze ją, bo przecie i w tych zapadłych kątach żyją ludzie, co myślą tak samo jak wy myślicie, i pracować by chcieli i kroczyć naprzód, ale spętano im nogi i związano ręce.

O czym zawiadamiając łączę wyrazy rzetelnego szacunku.

Jan Podbielski.

* *
*

Liczbę nieumotywowanych wycieczek przeciw nieistniejącemu w naszym piśmiennictwie „bezgranicznemu materyjalizmowi” pomnożył w 16-ym N-rze Kroniki Rodzinnej bezimienny pracownik rubryki tegoż pisma p. n. „Silva rerum.” Jestto widocznie rycerz lubiący jeździć na malowanych rumakach i w papierowej zbroi wdzierać się z trudem na na niebronione przez nikogo szańce. Możnaby zauważyć, iż stanowisko, z którego pozytywistów wyprzeć pragnie, było i jest niezajęte, że manewry dyjalektyczne, jakich używa, są błędnym pochodem lunatyka. Jak nikt bowiem z jednej strony, wbrew aksyjomatom Kroniki Rodzinnej, nie wątpi, że ojczyzną i głównym podziś dzień przybytkiem pozytywizmu nie są Prusy (!), lecz Francyja i Anglija, że nasza młodzież literacka przeważnie popularyzowaniem francuskich i angielskich myślicieli się zajmuje: tak z drugiej strony trudnoby było bez komentarza zrozumieć zwykłemu śmiertelnikowi *głęboko* pomyślaną paralelę między Bismarkiem a Heckelem, którą w analogii zacny kronikarz na ziemię naszę przenieść usiłuje. Jestto zaprawdę apostolstwo bez miana i zasługi.

Odprowadziwszy tym sposobem na miejsce wiecznego spoczynku zagadkową elukubracyją kronikarza z „Silva rerum”, musimy dla bezstronności zaznaczyć, że pośród natłoku bezbarwnych powieści, monotonnych korespondencyj, i bladych wierszydeł, 16-ty N-er „Kroniki Rodzinnej” mieści w swych łamach, dwa artykuły, które jużto żywotnością przedmiotu, jużto trzeźwiejszym nieco poglądem od innych się odróżniają. Jeden z nich p. t. „Ogniwa społeczne” nosi na sobie cechę prawie wyłącznie sprawozdawczą; zamyka bowiem ogłoszoną niedawno w Opiekunie wzmiankę „o szkole technicznej przy warsztatach kolei”, drugi, jest krótkim artykulikiem, odpowiednią barwie pisma ogólną recenzyją powieści umieszczanych w Bluszczu. Nie podzielając poglądu autorki tych uwag na szkodliwość *nowatorskich* wpływów, zgadzamy się z nią najzupełniej na to, że ktokolwiek przez powieść pragnie wpływać na społeczeństwo, powinien, daleki od chorobliwej sennicy „podawać karm zdrową, pożywną i racyjonalną”, że pismo przeznaczone dla płci niewieściej „nie zdoła kobiety odpowiednio usposobić do wzniosłego jej powołania, jeżeli ją karmić będzie mrzonkami,

Słusznie go można nazwać jednym z największych filantropów nowszych czasów. Nie pożądając sławy ani rozgłosu, pracował w cichości nad uzdatnieniem przyszłego pokolenia, pomny, że dzisiejsze dziecię będzie mężem za parę dziesiątek lat.

Urodzony w małym księstwie Rudolfstadt, w roku 1782, w dziesiątym roku życia postradał matkę. Już w tym wieku odznaczał się zamiłowaniem natury, zbierał zielniki i całą piersią ją ukochał. Po śmierci matki oddany został na wychowanie do wuja, a jak częstokroć dzieje się z wyższemi talentami, nie poznano w chłopcu ukrytego gienijuszu i z tego powodu oddano go na praktykę do leśniczego.

Wkrótce Froebel opuścił las i kształcił się prywatnie w ulubionych sobie naukach przyrodzonych i matematyce, aż nareszcie udał się do uniwersytetu w Jena, gdzie przepędził półtora roku, studyjując matematykę i fizykę. Śmierć ojca, pozbawiwszy go środków utrzymania, sprawiła, że musiał myśleć o kawałku chleba; i wtedy przez niejakiś czas pełnił obowiązki sekretarza u pewnego hrabiego w Meklemburgu, lecz wkrótce opuścił to miejsce i został nauczycielem prywatnym. W tym czasie nastąpiła znajomość z Pestalozzim i przyjaźń tych dwu znakomitych mężów.

Czując braki swego duchowego wykształcenia, udał się Froebel około 1810 roku powtórnie do Jeny. W wojnie o niepodległość Niemiec wstąpił do szeregu słynnych strzelców Lützowa, a po ukończeniu jej otrzymał posadę kustosza muzeum w Berlinie; lecz w roku 1816 opuścił to miejsce, jako nieodpowiadające celowi jego życia, i założył zakład wychowania w Keilhau, w księstwie Rudolfstadt, który wkrótce doszedł do znacznej wziętości.

Byłto instytut 4-o klasowy, oparty na zupełnie nowych zasadach. Naukę w nim wykładano przy pomocy metody uzmysławiającej, nie obarczając pamięci uczniów niepotrzebnym ciężarem zbytecznych i małoważnych faktów, a przytym przeznaczono godziny na wprawę w roboty ręczne jak: wyroby introligatorskie, modelowanie, tudzież roboty w polu i ogrodzie.

Wkrótce stronnicy dawnej bezmyślnej rutyny z oburzeniem zwrócili wzrok na kwitnący stan tej szkoły i podnieśli głosy oskarżające przeciwko jej założycielowi. Zesłana komisyja z ramienia księcia Rudolfstadt, nietylko że nie znalazła w jej urządzeniu nic szkodliwego, ale jeszcze dała najszczytniejsze o niej świadectwo co do korzyści jakie rozrozszerzenie podobnych zakładów przynieść jest w stanie społeczeństwu, tak pod względem ekonomicznym jak i moralnym.

Pomimo to knowania niechętnych i zacofanych dopięły swego celu. Liczba uczniów coraz bardziej się zmniejszała, tak, że Froebel musiał opuścić rodzinną ziemię i udał się do Szwajcaryi wzywany przez znakomitego swego poplecznika von Wartensee, który mu ustąpił swój pałac na założenie zakładu jeszcze na większe rozmiary.

Kilkanaście lat pobytu Froebla w Szwajcaryi przyniosły bardzo błogie owoce. Kantony szwajcarskie na wyścigi ubiegały się o oddanie hołdów zasłużonemu mężowi, powierzaniem przewodnictwa nad domami sierot.

W tym czasie dojrzała myśl Froebla, którą oddawna nosił w swej głowie—urządzania ogródków dziecinnych.

W urządzeniu ich wychodził z tej zasady, że przed 7 rokiem wszelka nauka książkowa nietylko że żadnej korzyści nie przynosi rozwojowi umysłu dziecka, ale owszem przytłumia jego siły i zniechęca do pracy dla niego niemiłej bo niezrozumiałej. A jednakże dziecko i w tym czasie samo sobie nie powinno być zostawione. Kierownictwo i tu okazuje się potrzebnym, chociaż nie powinno mieć charakteru przymusowego. Wychowawca powinien lekko tylko zachęcać, pobudzać, poruszać siły dziecka w nim uśpione do działalności, nadać popęd do samodzielności, co tylko wtedy nastąpić może, jeśli dziecko samo polubi swe zajęcie i zatrudnienie, w nim zasmakuje i popęd z zewnątrz pochodzący, zamieni się na wewnętrzną potrzebę ducha.

W tym celu uważał, że rozpowszechnienie samo książek popularnych o wychowaniu na niewiele się przyda, jeśli młode matki dopiero przy ich pomocy mają nabyć potrzebnej techniki w wychowaniu. Dlatego myślał o założeniu szkoły dla panien, połączonej z ogrodem dziecinnym. Starsze panienki tego zakładu miały się uczyć psychologii dla poznania praw ducha, fizyjologii dla poznania praw ciała, jako też historyi kultury. Kobiety, teoretyczne te wiadomości miały stosować do praktyki w ogródku dziecinnym.

W roku 1841 opuścił Froebel Szwajcaryją i przybył do księstwa Rudolfstadt, gdzie w Blankenburgu urządził oba zakłady na wielką skalę, to jest zakład dla dorosłych panienek i ogródek dziecinny; odtąd też, żył jedynie dla tych instytutów. Dbając o rozpowszechnienie swoich zasad, robił wycieczki do wielkich miast, jak Hamburga, Drezna, Berlina, wszędzie zyskując wielu adeptów dla swego dzieła.

W roku 1850 książe Meiningen ofiarował mu własny pałac w Marienthal na założenie nowego zakładu.

Pomimo tego od czasu do czasu odzywały się przestarzałe przesądy, ale te pomału ucichły, tak, że przed śmiercią swoją w r. 1852 Froebel mógł już liczyć, że owoc prac jego i usiłowań płonnym nie będzie, lecz z czasem prawdziwą korzyść ludzkości niezawodnie przyniesie.

(d. c n.)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Dynaburg 19 sierpnia.

Bracia!

Nie znacie nas zapewne? no, tak nie wątpię o tym i przyznaję wam słuszność, gdyż sami nie daliśmy najmniejszych dowodów życia, nie odznaczyliśmy się ani na polu odkryć lub wynalazków, ani też na polu codziennych ludzkich zajęć. Tak, krótko mówiąc, myśmy nędznie wegietowali — umysłowo i moralnie i Bóg raczy wiedzieć, jakby to długo jeszcze trwało, gdyby nie potężny wpływ promieni obecnego światła nie raził nam zbyt oczu, nie ocucił i nie zagrzał nas nareszcie do pracy nad sobą, do miłości bliźniego. Tak, odtąd i my chcemy żyć i pracować, cicho a wytrwale, nie w podziałach lecz w jedności—razem, zgodnie, mile, wziąwszy się za ręce dążyć do światła, nie pozbawiając go nikogo, owszem pociągając za sobą i zachęcając wszystkich. Lecz nim te błogie chwile nastąpią, zajrzyjmy nieco w przeszłość, chciejmy zbadać przyczyny, które spowodowały i powodują obecnie nasz smutny stan rzeczy. Aż nadto namy zalet, byśmy jeszcze jednej chcieli nabyć, a więc musimy wyznać, iż my sami przeważnie przyczyniliśmy się do tego swoją niemocą i lenistwem

---

roztkliwiać jej uczucia, wywoływać pragnienia", poza kresami możliwości leżące.

* * *

Opera nasza daje dowody ogromnej żywotności! Zaledwie parę miesięcy upłynęło od wznowienia Roberta Djabła, a już mamy rzecz zupełnie świeżą! Po Meyerberze, Offenbach miał zachwycać i razem pobudzać do śmiechu naszę publiczność. Liczne przygotowania oraz wzmianki w Kuryjerach o „Bandytach", pobudzały ciekawość. Niejeden zwolennik drastycznych konceptów już zawczasu pieścił wyobraźnią wspaniałą ucztą, jakiej się spodziewał na przedstawieniu i z pośpiechem biegł do kasy, aby na godzinę przed jej otwarciem ze dwiema setkami innych, narazić się, choćby na uduszenie, byle tylko zdobyć bilet na upragnione widowisko. Przypatrując się tej falującej jak morze gromadce, tej walce o piérwszeństwo przy okienku kasy, czytając na twarzach, to uśmiech tryjumfu, to grymas zazdrości, zadawaliśmy sobie pytanie, skąd pochodzi to uganianie się za pustym śmiechem, królem którego jest dziś Offenbach?

Obowiązek sprawozdawcy nigdy nie wydał się nam tak ciężkim jak tym razem. Zmuszeni siedzieć do końca opery i patrzeć na niefortunne figle szanownego Falsacappa i jego czcigodnych towarzyszów, zazdrościliśmy tym szczęśliwcom, którym nic nie przeszkadzało spacerować swobodnie po ogrodzie. Dla sumienności jednak kronikarskiej, po bohatersku siedzieliśmy aż do zapuszczenia kortyny, pocieszając się tym, że i cała publiczność lepszego nie doświadczała losu i zawiedziona w swych oczekiwaniach, w miejsce śmiechu... ziewała.

Spojrzałem na tych, co rano tak radośnie odchodzili od kasy z biletami w kieszeni. Ich wydłużone twarze zdradzały nieopisany zawód. „Pocośmy tu przyszli?" mówił jeden. „Aby podziwiać jak jest nudne to, co musiało być dowcipnym na urząd". Masz racyją, pomyślałem sobie w duchu, gdyż w tym krótkim zdaniu leży cała treść tak libretta jak i muzyki. Z tej więc wychodząc zasady, nie potrzebujemy poddawać szczegółowej ocenie „Bandytów", którzy w pomyśle, oprócz ustawicznej chęci błaznowania *en masse*, nie mają nic godniejszego uwagi, a w muzyce zdradzają zużycie się talentu kompozytora, który dawniej mimo zepsutego smaku i przeniewierzenia srę sztuce, tryskał nieraz werwą i spiewnością motywów. W „Bandytach" brak tego zupełny, może z powodu niedostatku materyjału w tekście. Szkoda więc było pracy artystów, którzy za sumiennie, bo poważnie brali się do pracy, dając tym dowód, że Offenbach nie pasuje do wielkiej sceny. Należałoby więc pomyśleć o przeniesieniu go do innego teatru jak to ma miejsce wszędzie za granicą.

* * *

Możemy już mieć nadzieję, że literatura nasza wzbogaci się jednym pięknym przekładem więcej. Oto dowiadujemy się, że pan Lucyjan Siemieński, znany poeta, feljetonista i krytyk, który już od lat wielu zajmował się tłómaczeniem Odysei Homera, jednego z najpiękniejszych zabytków poezyi greckiej, obecnie ukończył już całość i wydaje ją zeszytami w Krakowie. Pojedyńcze pieśni znamy oddawna, czytaliśmyje to w Biblijotece Ossolińskich, to w Przeglądzie polskim, to nareszcie w Kłosach z r. 1870. Niepodobna było nie zauważyć, że różne części nie równej były wartości. W niektórych ustępach, a nawet w niektórych pieśniach całych zmęczył się tradycyjny pegaz poety-krytyka i utykał; czasami rymy przypominały tylko usilność rymowania, a barwa poetyczna ścierała się aż do niepoznaki. Pomimo jednak tych chwilowych i miejscowych zapomnień, które w zbiorowym wydaniu zapewne naprawione zostaną, ogólne wrażenie z przekładu tego arcydzieła wyniesione, by-

jakkolwiek i okoliczności nie mały w tym miały udział. Mamy w Dynaburgu jedno gimnazyjum (obecnie szkoła realna), które rok rocznie wypuszcza 8—13 chłopaków—w większej części wypadków—zdolnych, dosyć rozwiniętych i majętnych, którzy, chciwi nauk i wiedzy, jadą do wyższych naukowych zakładów i mogę powiedzieć, z chlubą je dla nas kończą. Lecz gdzie się potym dziewają, jak działają—smutna to dla nas kwestyja. Młodzież nasza pogardza rodzinną strzechą, nie garnie się wcale po skończonych studyjach do swego społeczeństwa, które mu dało piérwsze wychowanie, by nieść im usługi, szerzyć światło, piękno, cnotę. Niepomną jest ona na to, iż zyskuje przezto spokój sumienia, miłość ziemian, tak drogie skarby i uchyla się od wszelkich obowiązków, nieprzynoszących żadnych korzyści. Miałażby nie wiedzieć, iż tylko ona jedna (nikt więcej) ma prawo przemawiać do nas, stosując się do naszego usposobienia i do przekonania nam trafiać może. Któż więcej może wpływać na nas, jeśli nie młodzież, obeznana z życiem i naszemi potrzebami;—młodzież, ktorej my tak chętnie słuchamy, jako braci jednej rodziny, jednego społeczeństwa, swoich ziemian. Niestety! w łonie swoim nie posiadamy żadnego takiego. Młodzież nasza rozproszona po cudzych krajach, między obce jej narody, obyczaj, religiją, język, nie znajduje echa swoich słów,--poparcia swoich czynów, obojętnieje na rzeczy publiczne, obowiązki obywatelskie, nikczemnieje i nie odpowiada wcale swojemu posłannictwu. Tak, myśmy pozbawieni prawdziwych uciech w świecie ducha, a i ona sama nie doznaje ich!

Przechodząc obecnie do płci pięknej, widzimy przeciwny fakt. Możemy wprawdzie poszczycić się nią co do ilości, gdyż takowej nam nie ubywa; lecz jakość jej, usposobienia moralne i umysłowe godne politowania; politowania, mówię, gdyż same okoliczności przyczyniły się do tego. Tak, obecnie, nie mamy żadnego gimnazyjum żeńskiego; prawdę mówiąc, myśmy i przedtym nie mieli go, lecz były (przed 10-u laty przeszło) zato u nas 2—3 prywatne pensyje; dziś zaś ni tego, ni owego. Ba! istnieje u nas od trzech lat żeńska szółka 2-u klasowa, ale de nomine chyba, gdyż ciągle, to się odkrywa, to zakrywa. Przyczyną tego są same przełożone szkółki, które odznaczają się brakiem kompetentności w naukach i prowadzeniu dziewcząt. Jak słychać, szkółka ma się zakryć i cóż wtedy poczną biedne matki! Same uczyć nie mogą; nie mają do tego ani czasu, ani odpowiednich wiadomości naukowych, wziąć guwernantkę nie stać im. No, więc czyż może być mowa o życiu pod względem umysłu, gdy brak nam źródeł pokarmu do podtrzymania takowego. Cóż to znaczy dla trzydziestu tysięcy przeszło mieszkańców, tak mała ilość naukowych zakładów, jaką my posiadamy, bo razem wszystkich mamy—jeden (gimnaz. męs. i to z pewnym ograniczeniem). Ba! mamy jeszcze i księgarnią, istniejącą od kilku miesięcy i składającą się z kilku set książek: ruskich, niemieckich i francuskich. Iluż tu ojców zostaje dziś w rozpaczy, nie wiedząc co ma począć ze swemi dziećmi, w jaki sposób dać im wychowanie! O własnej sile trudno.

Nie pogardźcie temi kilku słowami prawdy, szczerości i zaufania; nie posądźcie mnie zbyt surowo za nielogiczność myśli, niepoprawność pisania i mówienia, gdyż takie było moje wychowanie—niepodobna, bym naraz wypełnił wszystkie braki jego. Miłość ziemian zmusiła mię odezwać się do was; nie czułem się upoważnionym pozbawiać ich waszego wpływu, waszej pomocy.

Z prawdziwym szacunkiem zostaję

Władysław Arcisz.

Z powiatu Kaniowskiego, 17 Sierpnia.

Przedsięwziąłem nakreślić wam, czytelnicy, obraz mniej więcej wierny, naszej okolicy; czuję jednak, że to mi nie przyjdzie bardzo łatwo, gdyż obraz ten nie stanowi nic organicznie całego, niema tych głównych punktów, na których możnaby było ześrodkować o nim pojęcie.—Czyli innemi słowy: społeczeństwo nasze, niemając żadnego organu, któryby stale podejmował żywotniejsze jego kwestyje, któryby wielką siłą prasy powiązał pojedyńcze członki w całość dążącą do celów rzeczywiście osiągnięcia godnych, rozkłada się stopniowo, i dziś bardzo niewiele mamy ludzi, którzy wierzą w zasadę, iż są członkami wielkiego ciała społeczeństwa, dla którego pracując, pracują dla siebie. W naszym społeczeństwie niéma nic rozpowszechnionego, chyba lenistwo, nic pewnego; jestto masa najsprzeczniejszych piérwiastków, zostających w niewiadomości o innych, wegietujących prawie spokojnie, bez postępu naprzód, a kroczących powoli wstecz. Lepsze umysły w swoich staraniach i pracy napotykają trudności prawie nieprzezwyciężone: wszystkie inicyjatywy i projekta społeczne rozbijają się o obojętność masy, nieprzygotowanej i nieumiejącej myśleć o swoich ani o ogólnych sprawach.

Przypatrując się z uwagą naszemu społeczeństwu na piérwszym planie spostrzegamy różnobarwność dążności, celów, widzimy bezład, dysharmoniją. Na każdym kroku powstają kolizyje, walki, w których upadają jednostki, a społeczeństwo postawszy jakiś czas w statu-quo poczyna krok za krokiem odstępować wstecz. Demoralizacyja warstw niższych dochodzi już prawie do punktu kulminacyjnego. Ciemnota, arystokratyczno-szlacheckie przesądy niepozwalają wierzyć w potęgę ludu. Nasz pan obywatel lub posessor jak był bałaguła, tak też nim i pozostał. Ulepszeń w gospodarstwie żadnych, a przynajmniej prawie żadnych; a żyzne niegdyś pola Ukrainy, dziś wycieńczone bezdarną gospodarką i plantacyjami buraków, domagają się racyjonalniejszego poglądu na rolnictwo. Ale zato na zielonym polu jerełasik zmienia się preferkiem, z ptaszkiem, kociołkiem, a nawet z mitralijezą. Cóż? chcecie zobaczyć typ naszego obywatela? Wy go dawno, czytelniey, znacie. Jest to ten sam dobry, poczciwy brat szlacchic, wylegujący się na sofie z długim cybuchem w jednej ręce, z Gazetą Warszawską w drugiej,—lub nietracący drogiego czasu u sąsiada przy zielonym stoliku. Tak pracowity pan do dziś dnia nieprzestał uważać i obchodzić się z chłopem jak z „*hadiuką*." [1])

Zadziwia mię jedna okoliczność: ci sami ziemianie zapatrują się na swój zawód, jako na najlichszy i najpośledniejszy. Ojciec ma kilku synów; tego kieruje na prawnika, tego na medyka, a najniezdolniejszego zabiera ze szkół i *przyzwyczaja* do gospodarstwa. Nie mogę się powstrzymać, by nieprzytoczyć tu ło w wysokim stopniu zadowalniające. Prostota wyrażeń, połączona z jowijalnym humorem, treściwość słów, a pełnia myśli, wierność dla oryginału nie służebnicza lecz bratnia i przyjacielska, oto cechy, nadające przekładowi pana Siemieńskiego niezmierną wyższość nad dwoma całkowitemi, dotąd istniejącemi tłómaczeniami Odysei (Żukowskiego i Bronikowskiego). Publiczność nasza, znająca epopeje greckie, po większej części tylko ze słyszenia, ma sposobność przeczytania całości zawsze pięknej, pomimo, ze najmniej 2,500 lat temu, jak całość owa po raz piérwszy dźwiękami cudnej treści zachwycała słuchaczów...

[1]) *Hadiuka* lub też *Hadyna* po małorusku tyle znaczy, co *gadzina, gad*. Ten określnik nierozłącznie jest używany przy łajaniu wieśniaka, wszedł nawet w przysłowie: „Skazano, mużyk hadiuka."

* *
*

Jeżeli się chcecie, czytelnicy przekonać, jakim losom ulegają lub uledz mogą dzieci, którym na swobodną, bez żadnego nadzoru, pozwalają zabawę, to przejdźcie do ogródka zatytułowanego Nową Szwajcaryją. Jest tam urządzona gimnastyka. Dzieci więc pełno, uczniowie i t. p. zbierają się w dość pocieszającej zresztą dla wszystkirh pedagogów liczbie, starając się siły swe wykształcić i zdrowie w normalnym stanie zachować. Byłoby to bardzo pięknie—przeciwko takiemu objawowi niebyśmy nie mieli do powiedzenia. Dostrzegliśmy tam jednak inną okoliczność. Przekupnie owoców (w znacznej części niedojrzałych) uwijają się w tym ogródku swobodnie, kusząc młode podniebienia i łechcąc ich smak. Zabraniać sprzedaży jabłek i gruszek niepodobna; można jednak i powinno się rozciągnąć opiekę nad ich spożywaniem—bo same dzieci, a choćby doroślejsze wyrostki nie mogą samych siebie pilnować. Opieki, opieki!...

* *
*

Dowiadujemy się z pewnego źródła, że od 1 października r. b. Gazeta Kielecka przechodzi pod nową Redakcyją. Redaktorem będzie p. *Arkadyjusz Płoski*, wychowaniec i magister Szkoły Głównej Warszawskiej. Młode więc siły rozszerzają działalność swoję i na prowincyją, zużytkowując naukę i szczerą chęć pomożenia dobru ogólnemu. Przesyłamy im bratni uścisk dłoni i zachętę do—wytrwania.

* *
*

I w zakresie nauczania i kształcenia młodzieży inne miasta nie pozostaje obecnie w tyle za Warszawą. Za jej przykładem w Lublinie progimnazyjum zakłada p. Fałęcki; w Piotrkowie—p. Popowski; w Płocku—p. Biernacki. Moglibyśmy tylko życzyć, ażeby przewodnicy tych progimnazyjów więcej zwracali uwagi na wychowańców b. Szkoły Głównej i Uniwersytetu, więcej liczyli na ich żywotność i chęć do pracy, które z powodu braku pola do działania, męczą się i trawią, mozolne pędząc istnienie.....

* *
*

Przysłano nam list z Warszawy.

„Wiadomość zamieszczona w Opiekunie Domowym z d. 20 b. m. i. r., jakoby projekt podany przez p. P., zawiązywania kółek z 12 kobiet, które za złożoną opłatą zakupywałyby książki treści naukowej, przepadł jak „*kamień w wodę*" jest mylną. Kółka takowe istnieją; w Warszawie jest ich 5, a i na prowincyi udało się je zaprowadzić.

Uprzejmie prosimy Redakcyją o sprostowanie tej wieści: boli nas bowiem zarzut, że myśl pożyteczną, a zarazem tak łatwą do wykonania, miałyśmy zaniechać, dla karnawałowych rozrywek" Warszawianki należące do kółek.

Co nas w tym sprostowaniu pięknych warszawianek pociesza, to owo święte oburzenie, z jakim odpychają od siebie cień nawet bezwarunkowego hołdowania „karnawałowym zabawom". Chętnie wierzymy, że kółka istnieją i rozwijają się, choćby złośliwi mówili, że jestto tylko wyraz dobrych życzeń naszych warszawianek.

żywo tkwiącej mi w pamięci rozmowy, jaką miałem z podobnym, niedawno kreowanym gospodarzem.—Był on w uniwersytecie dwa lata, i przed rokiem zdecydował, że może się obejść bez Minerwy, kiedy mu Ceres rękę podaje. Dobry łan stepu i ciepła kabza ojcowska pomogą mu jakoś dożyć spokojnie bez trosk i kłopotów do grobowej deski.— „Powiedz mi Władziu, zapytałem, w jakim są stanie włościanie w waszej wsi?" Ale, ja ci powiem, że naród strasznie rozpuszczony; —„Skądże to pochodzi? musi być straszna nędza?" — Gdzież tam, niechcą nic robić i kwita. — „Wiesz co, Władziu, urządź im kasę oszczędności, poznajom się z wołośnym (wójt), pochodź koło nich, to może uda ci się co zrobić?"—Otobym dopiero dobrze wyszedł! U mnie dlatego tylko i gospodarka idzie, że oni nie mają pieniędzy."

No, jak wam się, czytelnicy, podoba takie indywiduum? Ekonomija polityczna rzecz dla niego jednak nie nowa. Nieboszczyk Mill bez żadnych kwestyj odesłałby takiego subjekta do czubków. A jestto u nas ogólny typ ziemianina. Przedstawiłem wam, czytelnicy, bardzo smutny obraz, od którego wieje woń dawno umarłych wieków, jak od starych mogił naszej Ukrainy.—Cóż robić? Niéma co się łudzić mniemaną naszą cywilizacyją. Niemyślcie jednak, by na tym spleśniałym i zgniłym tle nie byłożadnego zdrowego i światłego punktu. Powiat Skwirski a nawet Czerkaski bardzo się w ostatnich czasach ożywiły. Szlachetne starania kilku rozsądnych ludzi zaczynają powoli budzić myśl z letargu. Poczynają nawet bardzo żywo rozprawiać o współce wzajemnego kredytu. Lecz jestto prawie jedyny krok naprzód, o którym wspomnieć warto. Szkoda tylko, że propaganda zamyka się w granicach wspomnianej miejscowości, a u nas o tym ogół prawie nic niewie. [1]) Zostaje mi tylko wspomnieć jeszcze o jednym bardzo smutnym fakcie, o jednej klęsce groźnej i nieubłaganej jak Niemcy. Chcę tu mówić o naszych żydach. Co do stanowiska, jakie oni zajmują u nas, bardzo się niewiele różnimy od Galicyi.

Dziś można śmiało powiedzieć, że żydzi nasi poczynają zbierać plon ze swych interesów i interesików, którémi tak zręcznie oplątywali, w przeciągu wielu lat, naszych ziemian. Niegdyś żydzi stanowili jednę klasę, dzielącą się na miasteczkowych kupców, arendarzy i faktorów, nisko kłaniających się u progu pana. Dziś dekoracyja się zmieniła. Żydzi dzielą się na arystokracyją i demokracyją; różnica polega tylko na ilości kerbełe (rubelków). Arystokratów tytułują „pan", demokratów jak dawniej „żydzi." Arystokrata jest dziś posesorem ziemskim, lub fabrycznym. W naszym powiecie bodaj czy nie większa część ziemi jest we władaniu żydów,—fakt dający wiele do myślenia. Bardzo jest pochlebnym z pozoru dla nas, żeśmy dopuścili żydów do roli; żyd rolnik może przecie przywiąże się do ziemi, może zostanie obywatelem nakoniec, a przestanie być robakiem, toczącym społeczeństwo. Bardzoby to było pięknie, lecz... wątpię czy tak kiedykolwiek będzie. Nie myślcie, czytelnicy, bym powątpiewanie moje zasadzał na jakiej plemiennej lub kastowej nienawiści; nie, dalekim jestem od tego, patrzę na sprawę żydów całkiem bezstronnie. Dziś żyd nie jest obywatelem, gdyż... jest bezprawnym: własności ziemskiej posiadać nie może, a prawo dzierżawy także na włosku. Powiedźcież mi, państwo, czy może on zżyć się ze swoim zawodem, pokochać go rozumnie, gdy czuje, że lada chwila odbiorą mu prawo do roli, i każą znów zejść na pana arendarza? Żyd patrzy dziś na dzierżawę jak na spekulacyją, z której należy ciągnąć wszelkie możliwe korzyści, póki się daje ciągnąć, wkładając jak najmniej kapitału. Tu niéma co myśleć o tym, by żyd dzierżawca szanował ziemię lub dbał o dobrobyt włościan. Jak jedno tak i drugie potrzebuje nakładów, które będą się kiedyś dopiero procentowały. Żyd zatym robić ich nie może, a jakie stąd skutki dla społeczeństwa wyniknąć muszą, to każdy myślący czytelnik łatwo zrozumie.—Powiedziałem wyżej, że kwestyja żydów jest zatrważającą;—tak, to pewnik, gdyż cyfra dzierżawców żydów wzrasta w straszliwym stosunku, a ziemia przy ich gospodarce ogromnie się burakami wycieńcza.

Skreśliłem wam, czytelnicy, stan naszego ziemiaństwa w bardzo szczupłych ramach, może nie obejmujących wszystkich kwestyj, sądzę jednak, że te prawdy, które przedstawiłem, dadzą o nas wyobrażenie choć ogólne, ale wierne. W przyszłym liście, da Bóg, przedstawię wam stan naszych wieśniaków, bardzo interesujący i bardzo smutny.

Zapomniałem, czytelnicy, wspomnieć jeszcze o pięknej połowie naszych obywateli ziemian. Przebaczcie miłosierne panie i panny; nie przyszłyście mi na myśl. Trudno mi jednak pisać o was, gdyż... niéma co. Powiem krótko: w naszej kobiecie, choćby najlepiej paplała po francusku, i wszystkie sztuki, leżące na fortepijanie, bębniła najzawzięciej, znajdziesz zrozpaczony zwolenniku wyzwolenia kobiety jedno: Saharę myśli i uczuć, a w jej pokoju—magazyn paryski. Dziwna rzecz! Francyja ma dużo inteligencyi, Paryż jeszcze więcej, a paryski magazyn w dworku ukraińskim zawsze cechuje Saharę myśli i uczuć. O biedny panie Prądzyński! dużo w naszej pięknej okolicy wody upłynie, zanim nasze panie zrozumieją swego czcigodnego obrońcę i nauczyciela.—Mgła—step. *M. N.*

[1]) Szczegóły o tym projekcie znane mi są następne: W Kijowie przed kilku laty otwarty został kijowski ziemski Bank w celu zapewnienia ziemianom kredytu. Warunki jednak pożyczki są tak ciężkie, że zaciągnąwszy dług na dobra ziemskie, można się prędkiego spodziewać wywłaszczenia. Właściciele nasi są, jak wiecie, bardzo poczciwi prostaczkowie i jako tacy lézą jak na lep. Rozsądniejsi jednak ludzie proponują założenie współki wzajemnego kredytu. W tym celu obywatel p. Bobrowski wydał w r. b. w Kijowie broszurkę, w której bardzo sumiennie ocenia statut rzeczonego banku. Wszystkie jednak propozycyje, wszystkie broszury niewiele pomogą, gdyż nasi bracia niechcą czy nie umieją myśleć i działać, a oprócz polityki i powieści niewiele czytają.

ROZMAITOŚCI.

Dyrekcyja teatru lwowskiego nabyła przekład tragedyi poety serbskiego *Macieja Bana* p. n. „Marima czyli powstanie w Bośnii" i ma sztukę tę przedstawić na scenie w porze zimowej. Przekładu powyższego dokonał był zmarły przed kilku laty poeta *Roman Zmorski*, którego piękne tłomaczenia pieśni serbskich publiczności w znacznej części dobrze są znane.

* * *

W Krakowie wyszło w bardzo okazałym wydaniu, in 4-o piérwsze **sprawozdanie Akademii umiejętności** z dwu piérwszych publicznych jej posiedzeń. Treść tego sprawozdania następna: Zagajenie posiedzeń przez Józefa Majera; Polska w wieku Kopernika przez Józefa Szujskiego; Słowo o zasadach bicia monety (Ratio cudendae monetae) Mikołaja Kopernika przez Julijana Dunajewskiego; Akt fundacyi imienia Kopernika uchwalony przez Radę miasta Krakowa; Wizerunek Kopernika, wiersz przez Lucyjana Siemieńskiego. Wszystkie te rozprawy czytane były na piérwszym posiedzeniu 18 lutego. Na drugim posiedzeniu 7 maja czytano: Uwagi nad zadaniem Akademii w powszechności, tudzież historyczny przegląd towarzystw naukowych w Polsce przez D-ra Majera; O stosunkach Akademii krakowskiej do kraju i ruchu naukowego w powszechności przez Józefa Szujskiego. Książkę zamyka lista kandydatów na członków wszelkich kategoryj.

Odpowiedzi Redakciy.

Panu B. Dołędze w Kijowie. Artykułu pańskiego p. n. „Mickiewicz w Petersburgu" drukować nie możemy, gdyż główna jego treść (opowiadanie Cyprynusa) była już drukowaną w „Tygodniku Ilustrowanym" (1872 w Grudniu). Co się tyczy p. Nowosielskiego, podzielamy w znacznej części poglądy pana co do jego zasług w naszej literaturze i na epitety, któremi go obrzuciły „echa Przeglądu Tygodniowego" najzupełniej się nie zgadzamy; obrony jednakże w takiej formie, w jakiej ją pan podałeś zamieścić w Opiekunie niepodobna. Spis dzieł Nowosielskiego znaleźć można w katalogu; czytelnicy zaś nasi słusznieby się od nas domagali podania ich treści i oceny, na téj właśnie treści opartej. Studyjum o Fiszu z niecierpliwoscią oczekujemy.

P. A. zkielc w Kibastach. Filozofija pozytywna wysłaną została przez Redakcyją „Niwy."

P. Jankowskiej w Linkowcu. Prenumerata na dwa zeszyty bibl. filoz. poz. wniesioną została do Redakcyi „Niwy" *metody czytania Konstantynowicza* nié ma w Warszawie.

P. Bergowicz w Głuchowcach. Nie nasza wina że żądaniu pani zadość uczynić nie możemy gdyż N-ra 1, 4, 5, 6, 8, 9, 11 oddawna już są wyczerpane. Nr. 29 był wysłanym w swym czasie teraz posyłamy powtórnie.

P. Tużuńskiemu w Rachry. Rs. 5 na Wystawę Wied. otrzymaliśmy; prenumerata na Opiekuna za II półrocze dotąd nie opłacona.

P. Wilk. w Clg. w. wsi Ca. *Biblijoteka nauk prawnych* kosztuje rs. 12. Redakcyja biblijoteki umiejętności prawnych, ulica Jasna Nr. 7 w Warszawie. Bibl. filoz. pozytywnej wyszła I seryja 6 zeszytów a z Seryi II, dwa zeszyty; każda seryja kosztuje rs. 1 k. 65. *Dzieło Szokalskieyo Oftalmologija* kosztuje. rs. 6.

P. Ołtarzewskiemu w Kazaniu. Cena dzieła o małżeństwie *Wiśniewskiego* rs. 2 kop. 70.

Wyszedł 1-szy zeszyt „**Wystawy ilustrowanej Wiedeńskiej**", cena pojedynczego zeszytu kop. 50.

Do tego N-ru dołączamy dodatek za Sierpień; zawiera on Legouve'go: **Ojcowie i dzieci w XIX wieku i Uwagi ogólne o wychowaniu i wykształceniu dziewcząt** przez Jadwigę Ochorowicz.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.